

LEON SAZIE.

## ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

30

W tej samej chwili u wylotu ulicy ukazał się oddział gwardyi republikańskiej. Pomiedzy gwardzistami byli przebrani ajenci Paulina Broquet'a, a dowodził oddziałem L'Amorce. Przy spotkaniu oddział gwardyi rozdzielił się i otoczył wózek z chorym i towarzyszącym mu żołnierzem.

Plan Paulina Broquet'a udał się w zupełności. Ale Zigomar był przygotowany na wszystko i przewidział taką ewentualność. Jego ludzie wiedzieli, co mają robić. Na dany znak dowódcy wszyscy odpięli ukryte pod płaszczami skórzaną pasy ze złotem i rzucili je na ziemię. P. czem dowódca dał sygnał gwizdkiem i jednocześnie rzucił o ziemię garczek z farbą, który trzymał w ręku. Rozległ się silny wybuch i gęsty, gryzący dym pokrył kiebami wszystko. Gdy żołnierze gwardyi i ajenci przyszli do siebie, nikogo z bandytów nie było już na miejscu, wszyscy uciekli, poświęcając złoto w pasach i dużym, skórzanym worku, który leżał w wózku, zamiast domniemanego chorego.

Znowu Paulin Broquet odniósł połowiczne zwycięstwo — ocalał pieniądze Banku Francuskiego, nie złapał jednak Zigomara.

— Ten człowiek — mruczał detektyw — wywija mi się, jak wąż. Dobrze, przyjdzie jednak czas, że go złapię!

## ROZDZIAŁ XXII.

## Zemsta bandyty.

Ukończywszy sprawę z Bankiem, Paulin Broquet, swoim zwyczajem, zajął się zaraz inną. L'Amorce, który czuwał nad domem pani Garitzy, dał mu znać, że poprzedniego wieczora Zigomar odwiedzał młodą kobietę. Jednocześnie dano mu znać z Berlina, że dokumenty, skradzione pułkownikowi de Fontgrive, a dotyczące nowego modelu armaty Rimailho, otrzymano już tam i poznano, że były fałszywe. Zigomar zaś łada chwila mógł zażądać wyjaśnień od pani Garitzy.

Paulin Broquet na drugi dzień rano stawiał się w mieszkaniu młodej kobiety w przebraniu jako stroiciel fortepianów. Służąca wyszła na miasto po zakupy i otworzyła mu drzwi sama pani.

Detektyw dał się jej poznać.

— Samo niebo pana zsyła — rzekła p. Garitza — umieram z przerażenia.

— Wiem, wiem — odparł detektyw — miała pani wczoraj wizytę. Spodziewałem się tego, dlatego też jestem. Przedewszystkiem jednak pani pozwoli, że obejrzę mieszkanie i przekonam się, czy można swobodnie rozmawiać.

Detektyw obszedł wszystkie pokoje, zajrzał w każdy kąt, poczem zapytał:

— Czy pani jest pewną swojej służącej?

— Nie wiem doprawdy, nigdy nie podejrzanego nie zauważyłam. Ale nie dowierzam jej.

— Zanim wróci z miasta, możemy spokojnie rozmawiać. Musimy jednak zabezpieczyć się przed podsłuchiwaniami.

Mówiąc to, detektyw wyjął z kieszeni pudełeczko z gwoździami o szerokiej, płaskiej, ołowianej główce. Gwoździe te miały krótkie, stalowe ostrza, które mogły przebić podeszwę. Rozsypawszy je na ziemi w korytarzu i w sypialni, w pobliżu drzwi, powrócił do salonu.

— Teraz możemy mówić spokojnie. Nikt nie podejdzie do drzwi bez naszej wiedzy.

Podeszedł do fortepianu, otworzył go, zdjął przykrywkę, przytrzymując klawisze i rozłożył instrumenty.

— Nie należy zapominać — rzekł — że jestem stroicielem.

Podczas gdy p. Garitza opowiadała mu treść rozmowy swej z Zigomarem, detektyw uderzał od czasu do czasu po klawiszach.

— W Niemczech — mówiła młoda kobieta — nie chciało wypłacić umówionej kwoty za dokumenty, które nie mają żadnej wartości. Powiedziała mi Mistrzowi, że innych pułkownik nie ma.

— Cóż on na to?

— Rzekł: „To mnie bardzo dziwi, w takim razie pułkownik musi coś podejrzewać. Albo też pani nie chciała wziąć tamtych dokumentów. Czy pani przypuszcza, że mnie można oszukać? Radzę pani

zastanowić się nad tem dobrze i spełnić jak najprędzej mój rozkaz, inaczej spotka panią kara, straszliwa kara! Proszę więc wybierać!“

Paulin Broquet, wciąż uderzając po klawiszach, słuchał ze zmiarszczonym czołem tego opowiadania. Żał mu było serdecznie młodej kobiety i obawiał się, czy będzie mógł obronić ją od zemsty bandyty.

— Och — łkała pani Garitza — niech mnie pan wyrwie z jego rąk! Niech mnie pan obroni! W panu jedyny ratunek! Pan zawsze był dla mnie dobry. Wtedy w Tulonie mógł mnie pan aresztować. Zlitował się pan nademną.

— To prawda!

— Jestem panu tak wdzięczna! tak wdzięczna! Mam do pana nieograniczone zaufanie. I jeżeli, jeżeli... zgine, pan powie pułkownikowi, powie mu pan, dla czego tak się stało, opowie mu pan całe moje życie... niech wie, że nie chciałam go zgubić.

— Niema jeszcze nic straconego — rzekł detektyw — być może, iż Zigomar zechce sam zakraść się do mieszkania pułkownika. Znajdzie tam dokumenty takie same, jak te, których mu pani dostarczyła. Będzie to dowodem dla niego, iż pani spełniła jego rozkaz.

— Może.

— W przeciwnym wypadku, jeżeli będzie pani groziło niebezpieczeństwo, zabiorę panią stąd i ukryję w swoim mieszkaniu.

— W pana mieszkaniu?

— Właściwie w willi mojej żony. Tam pozostanie pani do chwili, kiedy Mistrz nie będzie już groźnym.

— Ale on? on? pułkownik?

— Pułkownikowi powiem tyle tylko, żeby się nie niepokoił. Niech więc pani przestanie płakać, jutro zniknie pani z Paryża i nikt nie będzie wiedział, gdzie się pani znajduje.

W tej chwili za drzwiami do sypialni rozległ się lekki okrzyk.

— A! — rzekł żywo Paulin Broquet — ktoś chciał podsłuchiwać pode drzwiami i skaleczył się. To samo i pani grozi, jeśli pani zechce wyjrzeć za drzwi. Poczekajmy chwilę, aż się ów ciekawy odadzi, później oczyszczę podłogę z gwoździ. Tymczasem proszę usiąść i zagrać coś, jakby próbując, czy fortepian dobrze nastrojony.

Młoda kobieta zaczęła grać, detektyw zaś zbliżył się na palcach do drzwi i zajrzał przez dziurkę od klucza.

— Tak — rzekł po chwili — to była służąca.

— Ach! w takim razie słyszała naszą rozmowę...

— Niemżliwe. Jak tylko zbliżyła się do drzwi, skaleczyła się w nogę, nie mogła nic słyszeć.

Otworzył bez szelestu drzwi, pozbierał gwoździe, poczem to samo zrobił w korytarzu.

— Teraz może pani przejść do kuchni, niech pani jednak udaje, że nic pani nie wie o skaleczeniu. Jeśli poskarży się na tę ranę, proszę to złożyć na tapicerów, którzy zostawili w mieszkaniu gwoździ. A jutro, jutro będzie pani już daleko.

Poczem detektyw pożegnał się z młodą kobietą wyszedł.

Pani Garitza grała jeszcze chwilę, poczem udała się do kuchni, jak to zwykle czyniła po powrocie służącej z miasta. Zastała ją zajętą bandażowaniem nogi.

— Co ci się stało?

— Ach! proszę pani, skaleczyłam się w nogę jakimś igłą.

— Bardzo cię boli? Pokaż!

Młoda kobieta, obejrawszy ranę, pomogła ją obandażować. Rana była dość duża. Jednakże służąca przygotowała śniadanie, podała, posprzątała i potem dopiero oznajmiła, że noga bardzo ją boli i że pójdzie do apteki po lekarstwo. Pani Garitza zgodziła się na to i radziła ranę starannie pielęgnować. Służąca udała się do apteki, kupiła lekarstwo, i skreśliła na róg do sklepiku. Gdy wychodziła stamtąd, spotkała się ze znajomym lokajem z sąsiedztwa. Ten zaprosił ją na kieliszek wina. W winiarni opowiedziała mu o swej przygodzie i pokazała gwoździ, którym się skaleczyła, nadmieniając, że u jej pani był dziś stroiciel fortepianów.

— A! — rzekł lokaj — to nie jest gwoździ, ale specjalny przyrząd, zabezpieczający przed podsłuchiwaniami.

Schował go do kieszeni i po chwili pożegnał służącą, która wróciła do domu. Lokaj zaś wsiadł do dorożki automobilowej i odjechał.

Tegoż wieczora pani Garitza, powróciwszy do domu z koncertu, wyjęła ręczną walizę i poczęła pakować drobiazgi, klejnoty i papiery. Gdy walizka była już prawie pełna, wyszła do sypialni po jakiś zapomniany przedmiot. Gdy powróciła do salonu, ujrzała stojącego przed walizką Zigomara.

Młoda kobieta zdretniała, zrozumiała że jest zgu-

bioną. Nadludzkim wysiłkiem woli opanowała przerażenie, żeby nie okazać tego.

Ale Zigomar patrzył na nią z uśmiechem.

— Jak widzę — rzekł — droga pani wybiera się w podróż?

Młoda kobieta odparła również z uśmiechem:

— Właściwie mała wycieczka.

— Z pułkownikiem?

— Tak.

— Prawdopodobnie pułkownik zabiera panią do jakiegoś fortu, gdzie się odbywają próby artylerii?

— Tak mi się zdaje.

— Doskonale! Znowu dostarczy nam pani jakich ciekawych dokumentów.

— Mam nadzieję.

— To bardzo szczęśliwie się składa, bo te, które otrzymaliśmy od pani niedawno, nic nie są warte.

— J-kto? dlaczego?

— Nic nie są warte — powtarzam pani.

— Jednakże wzięłam z biurka pułkownika te właśnie, których pan żądał, dotyczące armaty Rimailho.

— Tak, plany tej armaty. Tylko, że położono tam umyślnie plany bez wartości, specjalnie w tym celu, żeby pani je wzięła.

Pani Garitza zbladła.

— Jaktó, pan przypuszcza?

— Droga pani — rzekł Zigomar po chwili milczenia — widzę, że nie możemy się zrozumieć... Może potrzebujemy stroiciela w rodzaju tego, który był tu dziś rano, żebyśmy mogli rozmawiać bez fałszywych tonów.

Pani Garitza zrozumiała, że Zigomar wie o wszystkim.

— Przebaczenia, mistrzu! — jęknęła.

— Nie rozumiem pani?

— Nie mogłam inaczej postąpić.

— Doprawdy?

— Wzięłam papiery w teczce z napisem D. R. Nie wiedziałam, że nie mają wartości.

— Naturalnie — rzekł bandyta z uśmiechem — pani się nie zna na konstrukcji armat.

— Tak, wzięłam teczkę z tym znakiem.

— Zdaje mi się, że tam był także inny znak, mały krzyżyk.

— Rzeczywiście.

— I pani wiedziała, że trzeba brać dokumenty, oznaczone krzyżykiem, tak przecież umówił się z panią Paulin Broquet.

Młoda kobieta wiedziała już teraz, że jest zgubioną bez ratunku. Zakryła twarz rękami i wyszeptowała:

— Przebaczenia! Przebaczenia!

Sama wydawała na siebie wyrok. Ale nie była już w stanie bronić się. Przerażona, czekała na wybuch gniewu Zigomara. Ale bandyta zachował zupełnie spokój.

— A! droga pani — rzekł prawie wesołym głosem — miłość do pułkownika zaślepiła panią. Nie wypełnia pani moich rozkazów. I co gorsza, sprzymierza się pani z moim wrogiem. Miłość wiele rzeczy tłumaczy. Ale w każdym razie pani błąd jest wielki, bardzo wielki. A pani wie, że za to są kary, tak u nas, jak i u Paulina Broqueta. Słyszała pani zapewne o tem, że Paulin Broquet spalił żywcem jednego ze swych ludzi za to, że go zdradził.

— O! mój Boże! — jęknęła młoda kobieta.

— Tak, Paulin Broquet jest bardzo surowy w takich wypadkach. Ja nie mam racji być mniej surowym.

— Litości! Litości!

Zigomar począł się śmiać.

— Uprzedzałem panią, że za nieposłuszeństwo jest kara. A tu była jeszcze zdrada. Ale istnieją okoliczności łagodzące, pani miłość. Więc nie ukarzę pani. Niech się pani uspokoi, proszę spojrzeć na mnie.

Młoda kobieta podniosła oczy, nie wierzyła tym słowom uspokajającym, podejrzewała w tem jakąś zdradę. Jednakże Zigomar, jakby pragnąc ją uspokoić i ośmielić, zbliżył się do niej z wyciągniętymi ramionami. Pani Garitza wydała okrzyk przerażenia: w wyciągniętej ręce bandyty ujrzała jakiś błyszczący przedmiot. Odruchowo odepchnęła tę rękę gwałtownym ruchem i w tej chwili krzyknęła z bólu.

— Co się pani stało? — zapytał Zigomar, chwytając ją za rękę. — Możliwość pomyśleć, że panią torturują, tak pani krzyczy.

— Pan mnie zranił!

— Ja? Ależ nie!

— Skaleczył mnie pan!

— Upewniam panią, że nie.

— Czuję ból tu... pali mnie.

— To pani sama się skaleczyła, odpychając moją rękę.

— Ale pan miał sztylet w ręku.